Wrzesień - Październik 1935.

P I E R W S Z E   W Z L O T Y

Gazetka klasy II-a Gimn.III.im.króla Jana

Sobieskiego w Krakowie.

Dotychczas wyszło 5 numerów naszej gazetki "Pierwsze wzloty". Zastanówmy się nad niemi. Numery te przeważnie nie dawały jednolitej treści. Wprawdzie dwa zeszyty były poświęcone osobie Marszałka Józefa Piłsudskiego, ale i tu, oprócz głównej treści były inne rozprószone artykuły, które odbijały od głównego tematu. Pozatem różne zeszyty miały zgóry oznaczone tematy, ale do nich dołączały się inne artykuły. I tak pierwszy numer zawierał fragment życia Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego, dalej o morzu polskiem, wreszcie o powstaniu listopadowem. Drugi numer nie miał oznaczonego tematu, a zawierał szkic historyczny o wyprawie wiedeńskiej, oraz artykuły z techniki przyrody, wreszcie zagadki. W następnych numerach powtarzano poprzednie tematy, nie starając się o jednolitość treści.

Gorzej było ze współpracownikami. Właściwie tylko pięciu zajmowało się więcej redakcją i to naprzemian tak, że ogólny kierunek ustawicznie się zmieniał.

Uważam, że dla podtrzymania i uregulowania "Pierwszych wzlotów" konieczny jest program, albo jednolity w poszczególnych numerach, któreby wtedy stanowiły zwartą całość, albo zaprowadzenie osobnych działów w każdym numerze, n.p.: politycznego, historycznego, kulturalnego, literackiego, teatralnego, przyrodniczego, technicznego, rozrywkowego, a nadewszystko szkolnego, z życia klasy, szkoły, młodzieży polskiej i młodzieży wogóle. Powinni być współredaktorowie tych działów, którzyby przeglądali artykuły swego działu i przygotowywali je do druku.

Do pracy w gazetce powinno się wciągnąć wszystkich, każdy raz, dwa, albo trzy razy rocznie powinien oddawać artykuł z tego działu, do którego ma największe zainteresowanie. Ile z tego zostanie wydrukowane, to zależy już od redakcji i Opiekuna, ale każdy uczeń powinien ćwiczyć się w pisaniu artykułów na temat wyznaczony zgóry, lub wybrany przez siebie. Wtedy nastąpi ogólne zainteresowanie i każdy będzie prenumerował gazetkę jako wspólną własność całej klasy.

Łatwo krytykować, trudno dać coś dobrego i nowego!

Przecież w dotychczasowych numerach była niejedna rzecz dobra. Chodzi o to aby na przyszłość "Pierwsze wzloty" były lepsze, szczersze i głębsze.-

Antoni Kleczkowski
Za Redakcję.

Z życia Marsz. Piłsudskiego.

"G o ł ą b ż u ł a w s k i" Aleksander Lauterbach.

Każdy szczegół z życia Józefa Piłsudskiego jest dla Polaka drogą pamiątką i bezcenną. Dlatego też staramy się teraz poznać jak najdokładniej żywot i czyny tego ukochanego Wodza narodu. Dla nas szczególnie ciekawem będzie poznać następujący nieznany szerzej szczegół Jego lat chłopięcych.

Otóż w r. 1880 Józef Piłsudski, liczący wtedy zaledwie 13 lat, rozpoczął wydawanie gazetki pod nazw. "Gołąb Żuławski". Gazetka ta pisana przezeń własnoręcznie, obiegła nietylko osoby mieszkające w dworze Piłsudskich, lecz także okoliczne domy obywatelskie.

Pierwszorzędne miejsce w gazetce Piłsudskiego zajmowały aktualności kronikarskie, w których niejednokrotnie znajdowały się ciekawe wiadomości polityczne, podawane przez Ziuka z wielką ostrożnością, a nawet przebiegłością.

Oprócz tych wiadomości ogólnych ze świata i kraju "Gołąb Żuławski" dawał też poezje i powieści pióra Piłsudskiego, a czasem i Jego Rodzeństwa. Utwory młodociane Józefa Piłsudskiego zdradzają wielki talent i głębokie ujmowanie problemów, zdumiewające wprost u chłopca w tym wieku. Jako najbardziej charakterystyczny podam tu jako przykład wiersz p.t. " Tomek i dzwonnica".

" Poczciwy Tomek
Między dzwonami miał też swój domek,
W skrzyni huk srebra a w gumnach obficie,
Więc go to bardzo a bardzo bolało,
Że w tłumie chałup wiedzie swe życie
To w same gody,
Dobił targu i ugody
Przedał ogród domek stary,

A za przedań za talary
Kupił chatę w okolicy
Tuż przy samej przy dzwonnicy,
A dzwonnica wielka była,
Nad dachami w dzwony biła
I Tomkowi się zdawało,
Ze to jemu dzwonią z chwało
Tak w tej chacie czas mu bazy -
Aż raz nocą wicher wielki,
Szczyt kościelnej zrywa wieży.
To w upadku krokwie, belki,
Dach i ściany kruszy chaty,
ze zostały same graty.
Szczęściem Tomek z swoją chwałą
Ledwo wyszedł z gruzów cało,
Więc z przykładu tej dzwonnicy
Dotąd prawią w okolicy :
Do ścian obcych dla wygody
Nie zadzieraj w górę brody.
Chcesz mieć spokój i swobodę
Trzymaj w mierze swoją brodę.

Intencja tego wiersza i allegorja w nim zawarta jest jasna. Takie były Jego wiersze. Przyświecała im zawsze myśl w znaczeniu ogólnoludzkim i narodowym.

Znajdujemy też w "Gołębiu Zuławskim" powieść p.t. "Biali Strzelcy". Rzecz ta wykazuje, że już wtedy mały Piłsudski kreślił sobie obrazy strzelców. Oczywiście jak tamte utwory tak i tą powieść cechuje patrjotyzm i miłowanie Ojczyzny.

Z w a k a c y j .

Moje letnie wakacje - Józef Czerkawski.

Tegoroczne wakacje spędziłem wraz z ciocią w malowniczo położonej wsi Kwaczale.

Wieś ta leży w dolinie; po obu jej stronach są pagórki: o pół godziny drogi zaczynają się lasy, które łączą się z dużym lasem tenczyńskim. Ludność kwaczalska, chcąc określić położenie jakiegoś pola, mówi: za pierwszym, za drugim lub za trzecim pagórkiem.

W Kwaczale chodziłem często do lasu, wdrapywałem się tam na drzewa i zgóry podziwiałem prześliczną panoramę.

Podczas dalekich przechadzek zaznajamiałem się coraz bardziej z przyrodą. Zachwycał mnie głównie zachód słońca, gdyż wtenczas odbijały się bardzo wyraźnie Tatry i widać było Wisłę, podobną do wijącej się srebrnej wstążki.

Mieszkańcy na wsi opowiadali mi o jej naturalnych bogactwach jak: kamieniołomy, węgiel i glina. Niestety ' te dary przyrody nie są wykorzystane. W całej Kwaczale rozwija się tylko jeden przemysł domowy: wyrób dachówek.

Osobliwością tej prześlicznej wsi są dzikie jary. W głębiach ich znajdują się olbrzymie, różnego kształtu kamienie, drzewa oraz emonity. Jary otoczone są skałami, między któremi widać pochyłe głazy. Czasami na rozgałęzieniach, otwierają się dolinki, gdzie rosną orzechy laskowe i gdzie chodziłem zbierać maliny i poziomki. Nieraz przeskakiwałem ze skały na skałę i spuszczałem się do jaru, mimo, iż ziemia tam jest bardzo grząska. Znajdowałem rozmaite i bardzo ładne okazy drzewa skamieniałego, których sporą ilość przywiozłem do domu.

Robiliśmy też liczne wycieczki w okolicę. Najciekawszą była do Lipowca, oddalonego o godzinę drogi od Kwaczały.

Lipowiec znany jest z ruin zamku warownego, którego początki sięgają XIII wieku. Z warowni tej pozostała dobrze zachowana tylko wieża. Na pamiątkę odrysowałem sobie zamek lipowiecki, dom, w którym mieszkaliśmy i niektóre widoki przyrody.

Pobyt mój w Kwaczale pozostawił mi bardzo miłe wspomnienia, więc też opuszczałem tę wieś ze smutkiem. Dziwnem mi się tylko zdaje, że tej prześlicznej miejscowości nie odwiedzają wcale letnicy. Prócz mnie i cioci było obcych tylko parę osób.

Wspomnienia ze szpitala - Władysław Gostyński.

Klinika chirurgiczna prof. Rutkowskiego mieści się przy ul. Kopernika, naprzeciwko szpitala św. Łazarza. Posiada bardzo dużo oddziałów. Ja znajdowałem się na oddziale męskim na parterze. Na parterze było również ambulatorjum otwarte do godź. 12-ej w południe, a jeżeli przywieziono kogoś do południa, to szedł odrazu na stół operacyjny. Na bardzo niskim parterze od strony południa jest "Roentgen", sala ortopedyczna i sala opatrunkowa, oraz operacyjna, lecz tylko dla operacyj ropnych.

Rano przychodził do nas ksiądz i odprawiał króciutkie nabożeństwo, potem było śniadanie, wizyta lekarska, obiad, odwiedzanie chorych od 3 - 4, podwieczorek i znów wizyta lekarska. We wtorki i piątki miał wizytę prof. Rutkowski wraz z wszystkimi lekarzami. Na naszą salę przeznaczone były dwie pielęgniarki i jeden "półdoktor" pielęgniarz. Pielęgniarki roznosiły jedzenie, miały nocne dyżury, zaś pielęgniarz dawał zastrzyki i robił powierzchowne opatrunki. Na naszej sali było 7 chorych na nogi, 7 na żołądki, 2 na płuca, 1 na wole, 2 na raka. Z tych umarł chory z wolami zaraz po operacji, nie wróciwszy do przytomności, i dwóch chorych na żołądek, jeden po operacji, drugi spowodu ataku sercowego.

Gdy przyszedłem na klinikę, doktór wypytywał się o najdrobniejsze szczegóły mej choroby i zaraz zapisał mi dietę, która składała się z 3 sucharków, jednej szklanki mleka i dwóch talerzyków grysiku i szklanki herbaty bez cukru; ta dieta trwała 3 tygodnie. Już miano mnie puścić do domu, lecz "Roentgen" wykazał zgrubienia i zrosty na wyrostku robaczkowym, wobec czego musiałem poddać się operacji.

Na dzień przed operacją t.j. 10-go czerwca wyspowiadałem się, a następnego dnia rano ksiądz udzielił mi Komunji św. Trzymano mnie naczczo, a około godz.10-ej przyszedł na salę doktór i kazał pielęgniarzowi zaprowadzić mnie na salę operacyjną.

Wyszedłem szerokiemi schodami na 1-sze piętro, przeszedłem długim korytarzem, w którym stały oszklone szyfy, a w nich nożyce do trzymania żył, noże, maski i t.d. Gdy wszedłem na salę operacyjną, wszystko było przygotowane. Doktorzy w maskach, białych płaszczach, gumowych rękawicach i gumowych cholewach stali przy stole i rozmawiali. Gdy wszedłem, rozmowa się urwała. Położono mnie na tak malutkim stole, żem się na nim ledwie zmieścił, założono mi maskę i kazano oddechać swobodnie. Ponieważ obawiano się, ażebym się nie rzucał, przywiązano mi ręce do stołu i zaczęto usypiać. Szybko straciłem przytomność. Operacja wraz z przygotowaniami trwała 3-4 godzin.

Potem przywieziono mnie windą na parter. Gdy się obudziłem, była przy mnie pielęgniarka i mamusia. Poczułem skutki eteru, przedewszystkiem zacząłem wymiotować i pleść głupstwa. Czułem dotkliwy ból w ranie, który trwał przez 3 dni. W ósmym dniu dano mi do wypicia pół garnuszka rycynusu, a następnie wzięto mnie na opatrunek i wyciągnięto szwy. Następnego dnia t.j. 9-go dostałem już pełne jedzenie i po 6-ciu dniach wróciłem do domu.

Tak przebyłem całe 5 tygodni na klinice, opuszczając nie bez żalu sympatycznych towarzyszy niedoli szpitalnej.

Wspomnienie z wakacyj. O.

W czasie wakacyj ubiegłych byłem kilka tygodni w obozie YMCI w Mszanie Dolnej. Podczas mojego pobytu w nim zarząd obozu zorganizował kilka wycieczek, z których jedna utrwaliła mi się w pamięci spowodu rozmaitych niepowodzeń.

Drużyna z mojej chatki, /a chatek było 15/ udała się pod dowództwem przodownika na górę Łysinę, odległą od naszego obozu o kilka-

naście km. W drodze jednak okazało się, że przodownik nie znał drogi, a ponieważ i informacje spotykanych górali nie były zrozumiałe, dlatego kilkakrotnie zdarzyło się, że błądziliśmy i wracali na to samo miejsce. Oczywiście marsz w takich warunkach z naładowanym plecakiem był dla nas wszystkich bardzo przykrym, i dlatego ucieszyliśmy się, kiedy po kilkugodzinnem spinaniu się pod górę ujrzeliśmy wkońcu na szczycie góry chorągiewkę, umieszczoną na obserwatorjum zbudowanym na Łysinie . Ta chorągiewka i odgłos ujadającego w obserwatorjum psa, były naszemi drogowskazami na szczyt góry, na który wkońcu przyszliśmy bardzo zmęczeni.

Obok obserwatorjum znajduje się mała polanka i na niej zbudowaliśmy szałas, celem przenocowania. Szałas ten jednak, okryty gałęziami, był za mały, aby w nim mogło się zmieścić 11 osób: przodownik i 10-ciu członków drużyny. Było nam zatem w tym szałasie bardzo ciasno i niewygodnie tak, że o śnie nawet marzyć nie można było. Tymczasem w nocy zaczął padać deszcz, który przeciekał zgóry przez gałęzie i mnie skulonego całkiem przemoczył.

Zmęczony i mokry, z gorącą tęsknotą oczekiwałem końca tej nocy. Na szczęście jeszcze przed świtem opuściliśmy szałas i wróciliśmy do domu.

N a s z e w y c i e c z k i .

T y n i e c /historja/ . G. Kurkiewicz.

Nazwa "Tyniec" pochodzi prawdopodobnie od czeskiego słowa "Tyn" - gród. Założenie grodu sięga końca VIII lub początku IX wieku. Kościół oddał w posiadanie Benedyktynom Bolesław Chrobry, ale właściwym założycielem klasztoru był Kazimierz Odnowiciel / w r.1044/. Klasztor był kilkakrotnie niszczony i czterokrotnie odnawiany. Z gotyku przerobił go na barok w r.1622 biskup Maciej Łubieński. Kościół tyniecki spustoszyli i spalili Tatarzy, zrabowali i ograbili go Szwedzi, a w roku 1771 obwarowali się w nim konfederaci barscy, broniąc się bohatersko przeciw Moskalom. W roku 1817 państwa zaborcze skonfiskowały

klasztor, ale rząd austrjacki w r.1822 przywrócił go, tworząc w nim biskupstwo tynieckie. W roku 1831 piorun uderzył w kościół, zburzył jedną z wież i wywołał pożar. Reszty zniszczenia grodu tynieckiego dokonał czas.

Obecnie kościół należy do parafji. Ołtarz po niedawnej restauracji wygląda brzydko i jaskrawie, gdyż świeżo złocone figury świętych nie harmonizują z poważnem tłom wnętrza. Prawdziwą ozdobą kościoła jest stara stylowa ambona.

Ruiny zamku są tak zniszczone i zaniedbane, że tylko wytrawny badacz 9 historyk mógłby coś o nich powiedzieć.

/Według "Przewodnika po kościele i ruinach Tyńca" ks. Marszała z 1908r.

Z życia klasy.

Dlaczego powinien powstać w naszej klasie "Związek opieki nad zwierzętami"?

Gete.

Już dawno zamierzałem zainicjować w klasie kółko przyjaciół przyrody. Utworzenie takiego kółka pod nazwą "Związek przyjaciół kwiatów" zaprojektował jeden z naszych profesorów. Przy rozpatrywaniu tego wniosku, na posiedzeniu gminy napotkano na silny sprzeciw, ale to jeszcze nie wszystko. Z niezrozumiałych dla mnie powodów koledzy pomimo wczesnej godziny domagali się zamknięcia posiedzenia gminy i rozejścia się do domów. Dlaczego? Sprawa ta wyjaśniła się po chwili. Jeden z kolegów zapytany przezemnie, dlaczego tak się spieszy do domu, odpowiedział mi ze złością w głosie: "ty możesz sobie na katedrze pokrzywy sadzić, ale ja do jakiegoś takiego idjotycznego związku nie przystąpię, do widzenia "frajerze" bo mi się spieszy na mecz".

Rozgoryczony i zmartwiony wróciłem do domu. Zmartwiony byłem nietylko odrzuceniem wniosku ale też przekonaniem, że <u>w klasie mojej większość stanowią chłopcy z inteligencją... w nogach</u>, u których poszanowanie może mieć tylko chłopiec za to, że wykorzystał "karnego" i strzelił "gola" ładnym oksfordem itd.

Ostatniej niedzieli wybrałem się na pokaz psów rasowych. Pokaz ten zorganizował "Związek opieki nad zwierzętami" w Krakowie. Przez estradę wystawioną w wielkiej hali przy ul. Rajskiej, wobec tłumnie zebranej publiczności, przedefilowali przedstawiciele różnych ras największych przyjaciół człowieka. Daremnie szukałem wśród tego tłumu moich kolegów. Po pokazie spotkałem kolegę K., który przypadkowo znalazł się na ul. Rajskiej i z zainteresowaniem oglądał psy, wyprowadzane pieczołowicie przez właścicieli z budynku wystawowego.

Gdy w rozmowie z nim przekonałem się, że i on lubi zwierzęta i nie obca mu jest idea ochrony zwierząt, wstąpiła we mnie otucha . Nie czułem się już osamotniony w mojem dążeniu na terenie klasy. Zaczęliśmy wspólnie snuć plany nowego związku.

- -

Wracałem do domu. Przy kiosku gazetowym spotkałem innych kolegów. Byli przed chwilą na meczu piłki nożnej. Zachwycała ich "wspaniała i piękna" gra krakowskich piłkarzy.- "Pomyśl sobie, Kraków wygrał z Lwowem 3:2! no, no, zaprawdę zachwycające.- Pomyśl tylko, że Kraków jest wyżej postawiony od Lwowa o całe jedno kopnięcie piłki do bramki. Stanowczo Lwów powinien się schować pod ziemię. Taki wstyd!" A ja wobec takich wiktoryj Krakowa poszedłem zamiast na mecz na... pokaz psów. Czyż to nie karygodne? Czy nie należałoby mnie oddać pod obserwację psychjatry /albo przynajmniej gimnazjalnego psychologa/?

C. d. n.

Komisja redakcyjna:

Redaktor: Antoni Kleczkowski,

Członkowie: Kazimierz Kułakowski,

Maciej Michałowski,

Tadeusz Kwieciński,

Aleksander Lauterbach,

Orest Lityński,

Opiekun gazetki: Prof. Marjan Deszcz.